

TADEUSZ.

Żegnajcie! Jeżeli zginę, za duszę moją mówcie pacierze.

(Do Zosi).

A ty, siostrze, pamiętaj o dniu dzisiejszym! O wielkim dniu dwudziestego dziewiątego listopada, w którym naród postanowił zerwać kajdany. Przekaż to dzieciom i wnukom twoim. Czy wysiłki te nasze udadzą się? Niewiadomo!

(Z przekonaniem i mocą).

Ale wierzę, iż prędzej czy później nadejdzie ta chwila, w której Bóg Wszechmocny uwolni Polskę. Wskrzеси, podniesie z poniżenia ku chwale! Na podziw innych narodów!

BABUNIA (wznosząc ręce).

Wskrzеси ku Zmartwychwstaniu! Co daj, o Boże i Matko, Królowo korony polskiej, Częstochowska Panienko! Amen.

(Tadeusz klęka u nóg babuni, która go chwilę tuli w ramionach, kreśli krzyż nad jego czołem, potem odsuwa go z wysiłkiem od siebie).

BABUNIA.

Idź!

(Za sceną śpiew: «Jeszcze Polska nie zginęła!»)

Tadeusz wyjmując pałasz z pochwy, wznosi go.

(Wszyscy troje)

Nie zginęła!

(Zasłona spada).

KONIEC.

TEATR AMATORSKI Nr. 87.

MARYAN GAWALEWICZ

25

PRELUDYUM SZOPENA

OBRAZEK DRAMATYCZNY

□□ W JEDNYM AKCIE □□



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1907

Handwritten signature and initials.

Handwritten notes: "Mk 1. - 2-10 110"

KRAKOW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

OSOBY:

LAURA
EWA
LUDWIK
DANIEL.

Rzecz dzieje się na wsi.

(Scena wyobraża salon bardzo gustownie urządzony, w głębi dwa okna, drzwi do ogrodu, drzwi po bokach, po prawej stronie fortepian; zmrok, scenę oświetla duża lampa na fortepianie stojąca, przyćmiona umbrelką: jedno okno otwarte).

SCENA PIERWSZA.

LAURA, DANIEL.

(Po podniesieniu kurtyny Laura gra czas jakiś preludjum A-dur z wielką expressją: Daniel stoi u otwartego okna i słucha. — Chwila milczenia).

DANIEL *(wpadając w takt melodyi, zaczyna deklamować):*

Leżę na obłoku
Roztopiony w ciszę,
Mgłę mam senną w oku,
Oddechu nie słyszę;

Fijolkowej woni
Oplywa mnie morze,
Dłoń złożywszy w dloni,
Lece, płynę gdzieś...
Nie wiem, gdzie, czem jestem,
Czym anioł na polu?
Bo z cichym szelestem
Migają anioły.

Chyba Bóg określi
Moją słodycz... *(urywa nagle).*

LAURA (*grając dalej*).
Nie pamiętasz pan końca?

DANIEL (*hamując wzruszenie*).
Tak — nie pamiętam...

LAURA.
To ja panu przypomnę: (*dekluuje przy muzyce*).

Chyba Bóg okréśli,
Moja słodycz — Boże!
Ach, nie budź mej myśli,
I serca nie wskrześ!...

(*Gra jeszcze czas jakiś, potem w pianissimach kończy Preludjum i zamyśla się; Daniel patrzy na nią przez chwilę, zbliża się powoli i staje obok fortepianu*).

DANIEL (*powtarza przyciszonym głosem*).
Ach, nie budź mej myśli i serca nie wskrześ!

LAURA (*budzając się z zamyślenia*).
Co pan mówileś?

DANIEL.
Nic, powtórzyłem prośbę poety. Ma słusność: kiedy myśl śpi i serce śpi, życie jest lekkie, jak sen; tylko, że tak: «dobranoc» sercu powiedzieć nie łatwo. Czasami przymknie oczy i udaje, że usnęło.

LAURA.
I po co?

DANIEL.
Aby ludzić siebie i drugih.

LAURA.
Czy to dobrze?

DANIEL.
Dobrze, jeżeli tak być musi.

LAURA.
Ach, jak bolesnym jest wszelki przymus, a najboleśniejszym przymus serca!

DANIEL.
Prawda...

LAURA.
Tak mi się zdaje; sama nie potrzebowałam tego nigdy doświadczać. Wolno mi było kochać i być kochaną...

DANIEL.
A to już wielkie szczęście na ziemi, bardzo wielkie!

LAURA.
O tak! (*zaczyna pierwsze takty Preludjum*).

DANIEL.
Jak widzę, Szopen jest zawsze jeszcze pani ulubieńcem; grasz go pani z temsamem zamiłowaniem, co niegdyś za czasów panieńskich.

LAURA.
Niestety! odkąd poszłam za męża, odkąd się zaczęły moje obowiązki gospodarskie, macierzyńskie, — nie uwierzysz pan, jak zaniedbałam muzykę. Rzadko kiedy siadam teraz do fortepianu. Nie mam czasu... Poczciwy Ludek gani mi to

ciągle; ale cóż robić? Przyznam się panu, że tak spoważniałam w mojem nowem powołaniu, iż nie poznałbyś we mnie owej dawnej panny Laury, która przepadała za Lenartowiczem i Szopenem. Dzisiaj, kiedy mam wolną chwilę, wolę się pobawić z moją Misią i prowadzić z nią poważne dysputy o jej lalkach, lub rozkoszować się jej figlami. Kochane moje dziecię!... Żebyś pan widział, jak ją do snu układają, co to za psoty wyprawiać umie; jak się to przekomarza, układa, zbytkuje! «Ucieszny błazenek!» — jak ją Ludwik nazywa. Ale ja panu o tem mówię z całym samolubstwem matki, zapominając, iż dla kawalerów, to ani zajmujący, ani zrozumiały temat do rozmowy.

DANIEL.

O proszę, mów pani... Po trzech latach niewidzenia się każdy temat jest dla mnie równie zajmującym, jeżeli tylko pani i Ludwika dotycze.

LAURA.

Alboż to już trzy lata minęły, odkąd pan opuściłeś kraj?

DANIEL.

Tak, tak! — zaraz po pani ślubie... trzy lata minęły, jak trzy dni; wróciłem ten sam, tylko tu się wiele zmieniło.

LAURA.

Jakże pan chciałeś?... Trzy lata: to kawał czasu. Patrz pan na mnie: co się ze mną stało!... Ani przypuszczałeś zapewne, że się tak zmienić mogę.

DANIEL.

Rzeczywiście, cieszy mnie tylko, że ta zmiana tak pod każdym względem wypadła korzystnie.

LAURA.

Ludek mój narzeka, że się starzeje tu na wsi; powiada, że na naszych błotach zardzewieje, jak stara strzelba. Ot, z panami zawsze trudno dojść do ładu! Żle wam w małżeńskim, źle w kawalerskim stanie...

DANIEL.

Ja się nie skarżę; z moją wadą sercową żyję jak na popasie i czekam tylko, kiedy śmierć zaprzęgnie konie do karawanu.

LAURA.

Co też pan mówisz, panie Danielu! — Jak można w takich razach żartować!

DANIEL.

Lepiej żartować, niż martwić się i obawiać tego, co lada chwila przyjść może. Zresztą o mnie mniejsza, starych kawalerów nie braknie na świecie, a dla mnie do małżeństwa wszystkie rogatki pozamykane. Nie śmiałbym wziąć żony na to, aby z niej niespodzianie zrobić wdowę i na ślubną suknię może odrazu narzucić żalobę.

LAURA.

Dlaczegoż zaraz takie przypuszczenia?

DANIEL.

To nie przypuszczenia, pani, to wyrok po party powagą lekarzy.

LAURA.

Ach; nie mówmy o tem... to przykre.

DANIEL.

Zapewne... Więc powiadasz pani, że Ludwik...

LAURA.

Skarży się na pobyt na wsi, nudno mu tutaj; i ja się nawet nie dziwię. My, kobiety, w czterech ścianach domu męża zamknąć umiemy cały nasz świat; wy, panowie, tego nie potraficie. Wam, jak orłom, ciasno w domowych klatkach, choćby o złożonych szczeblach. Potrzebujecie przestrzeni!

DANIEL.

Czyżby i Ludwikowi już było za ciasno?

LAURA.

Nieinaczej: sąsiedztwa nie mamy, towarzystwa, oprócz księdza proboszcza i przypadkowych gości, jak pan — żadnego, ot! żyjemy jak na pustyni. Cóż dziwnego, że Ludwikowi, przyzwyczajonemu do wielkiego miasta, do gwaru, ruchu, zabaw, nudzi się w takiej pustelni! Ja sama, gdybym nie miała, domu, dziecka i... męża, zaziewałabym się chyba z nudów.

DANIEL.

A przecież Ludwik ma także dom, dziecko i... żonę.

LAURA.

Ba! dla mężczyzny — to co innego.

DANIEL.

Nie spodziewałem się po pani tak pobłażliwych pojęć o naszym rodzie. Wyznam wszakże, iż to nie bardzo bezpieczne przekonania dla żony.

LAURA.

Dlaczego?

DANIEL.

Dlatego, że mąż mógłby ich nadużyć.

LAURA.

Może, ale nie *mój!*... Ludwik jest wzorem wiernych mężów, a choć trochę kaprysi, choć czasami poziewa — nie pomyśli nawet o nadużyciu wolności.

DANIEL.

W istocie?... cóż pani taką pewnością nadaje?

LAURA.

Co?... on sam. Wiem, że jest człowiekiem szlachetnym, że poślubił mnie tylko z miłości, że nigdy nie zawiódłby mego zaufania; ja mu wierzę — to dość. Moja wiara jest dla niego tarczą, o którą każde pokuszenie musiałoby się rozbić. Jestem spokojną i szczęśliwą...

DANIEL.

Chwała Bogu!

LAURA (*przebiera po klawiaturze i wpada znów na początek Preludjum*).

Ach, nieznośne palce; uwzięły się dzisiaj na tego biednego Szopena! Czy uwierzysz pan, że

to one same przypominają mi tak to «Wniebo-
wzięcie», jak Ujejski nazwał moje ukochane
Preludyum.

DANIEL.

Uważałem tylko, że dzisiejszego wieczora
powracałaś pani do niego kilkakrotnie. Nic dzi-
wnego; ta melodia ma w sobie jakąś niebiańską
pogodę, jakąś woń fijołków podczas księżycy-
wej nocy.

LAURA.

Oh, nie to tylko!... Ta melodia dla mnie
osobliwie jest talizmanem miłości.

DANIEL.

Jakto?...

LAURA.

Wspomnienia najpiękniejszych chwil w mem
życiu wiążą się z tem Preludyum; ono towa-
rzyszyło pierwszej mojej rozmowie z Ludwikiem
(*opowiadając dalej, przygrywa sobie po cichu*). Nie było
to wprawdzie tak romantycznie, jak w poezyi
Ujejskiego, nie było księżycy na niebie, ani
woni fijołków w powietrzu; ale był wieczór le-
tni, cichy, jak ten, byliśmy we dwoje tylko przy
fortepianie... ja grałam, a Ludwik mówił mi
o swojej miłości, o naszym szczęściu, — o tem,
co obie nasze dusze marzyły, a co ja przelewa-
łam w pieśń Szopena, on zaś w słowa pełne
takiej wiary we mnie i w siebie, w naszą przy-
szłość i w harmonią serc naszych! Dziwnie to
piękna była chwila!... Potem, gdyśmy się pobrali,
tu, na tem samym miejscu siadywaliśmy co-

dziennie szarą godzinką na rozmowę. Była zima
wtedy, śniegi spadły na lokiec, zasypały cały
nasz dworek; żywej duszy, prócz nas dwojga
i służby nie było w całym domu. Wtedy było
nam najlepiej. Byliśmy sami i tylko dla siebie...
i często w ciemnym pokoju ja siadałam do
fortepianu, Ludwik przy mnie; ja grałam, on
całował mnie po rękach i mówił, że jest naj-
szczęśliwszym z ludzi!... Mój Boże! jakie to piękne
były te nasze wieczory, a poczciwy Szopen na-
wet się nie spodziewał, że jego Preludyum bę-
dzie dla pary kochających serc całym słowni-
kiem miłości i szczęścia... Potem jeszcze, potem...
często przy nim usypiałam moją Misię, gdy
zasnąć nie chciała. Nie zdziwisz się pan temu,
że mimowoli wracam tak często do tej melodyi,
choć... w ostatnich czasach coraz rzadziej
przypominam ją sobie i Ludwikowi.

DANIEL.

O nie, nie dziwię się teraz — pani.

LAURA (*wstaje od fortepianu*).

Ale ze mnie wcale nie zabawna gospodyni!
Od dwóch dni siedzisz pan już u nas, a słuchać
musisz tylko moich zwierzeń; nudzisz się w na-
szem domowym zaciszu. Oj, rdzewiejemy, panie
Danielu, jak powiada Ludek. Panu wracającemu
z wielkiego świata, pociesznem wydawać się
musi to nasze życie wiejskie na ustroniu, zabi-
tem deskami. Gdyby nie pani Ewa, która zjechała
na kilka tygodni do siebie, o pół milki tylko
od nas, gdyby nie odwiedzała nas prawie co-
dziennie, moglibyśmy zapomnieć o całej Europie.

DANIEL.

Alboż pani Ewa aż całą Europę przypomina?

LAURA.

Oh, to bardzo światowa dama! Ja przy niej wyglądam, jak trusia i słucham tylko, gdy mówi. Dla mego Ludwika to prawdziwa rekreacja teraz; całemi godzinami rozmawiają z sobą na wyciągi.

DANIEL.

Przepraszam, że spytam z prostej ciekawości: pani Ewa mężatka?

LAURA.

To jest: tak i nie; ma męża i nie ma go. Żyli z sobą długi czas za granicą, w Paryżu, we Włoszech; podobno nawet rozchodzili się kiedyś, ale teraz pan Seweryn — właśnie mąż pani Ewy — wyjechał gdzieś za interesami do swoich dóbr na Ukrainę i od roku prawie nie wraca. Zresztą nie znam tak dokładnie tych stosunków. Ludwik to panu lepiej opowie.

DANIEL.

To zapewne nowa znajomość pani?

LAURA.

Moja — tak, ale mąż znał ją podobno jeszcze za kawalerskich czasów. A panu jak się podobala?

DANIEL.

Czy mogę być szczerym?

LAURA.

O, koniecznie!...

DANIEL.

To powiem, że wcale nie. Jest zanadto... niebezpieczną, jak na kobietę.

LAURA.

Jak to pan rozumiesz?

DANIEL.

Chciałem powiedzieć, że ma za dużo broni zaczepnej i odpornej. Na jej czole i w oczach zdają się świecić te Cezarowe wyrazy: *veni, vidi, vici!* Kobiety takie, przyzwyczajone do zwycięstwa bez oporu, nie zsiadają z tryumfalnego wozu, który je wiezie drogą życia, ciągniony przez tłumy niewolników; tak się przyzwyczajają brać cudze serca, że o swoim własnym zapominają zupełnie i nie oddają go nikomu. Są to Molochy miłości, żadne ciągle nowej ofiary.

LAURA.

Jaki z pana surowy sędzia!

DANIEL.

Nie darmo zowie się Danielem; chociaż dotąd nie siedziałem nigdy jeszcze w lwiej jamie, przysiadalem się już do niejedenk w łwicy w arenie wielkiego świata i stąd znam je lepiej od innych.

LAURA.

Bądźcobądź, pani Ewa jest niepospolitą kobietą.

DANIEL.

Czy i Ludwik zdanie to podziela?

LAURA.

On przedewszystkiem, a Ludwik zna się na tem. Pan wiesz najlepiej, jaki to był pogromca serca za swoich... gladyatorskich czasów w salonach.

DANIEL.

Oh, pamiętam, pamiętam! Zwycięski gladyator opierał się najsroźszym lwicom, a dał się pokonać...

LAURA (*z uśmiechem*).

Potulnej owieczce — chcesz pan powiedzieć?

DANIEL.

Nie — łagodnej gołębiczy.

LAURA.

Ach, przyznam się panu, że komplement nowy i oryginalny.

DANIEL.

To nie komplement, to prawda.

LAURA.

Ale, *à propos* gołąbka: przypomniał mi się Lolo pani Ewy. Prawda, jakie to śliczne dziecko!... Wczoraj, gdy popołudniu deszczyk rosić zaczął, gołębie nasze schroniły się pod okna oranżeryi i zmoczone otrzepywały piórka z wody; Lolo, widząc to — przybiega do matki, zaczyna ją ścisnąć za kolana, całować po rękach i prosić... zgadnij pan o co?

DANIEL.

Aby gołąbki wpuścić do pokoju?

LAURA.

Gdzie tam — aby im wynieść parasoll!... Prawda, jakie to naiwne, ale jakie przytem ujmujące! Złote ma serce ten malec, tylko za czule. Uważałeś pan, jakie ma śliczne, smutne oczy — zupełnie odmienne od oczu matki. Pani Ewa powiada, że będzie z niego wielki mazgaj, gdy podrośnie.

DANIEL.

Pani Ewa nie lubi smutnych... dzieci.

LAURA.

Wogóle nie bardzo lubi dzieci: utrudzają ją zanadto. Mój Boże, jakby to dziecko matkę utrudzić mogło!... Ja przy chorej Misi siedziałam dwa tygodnie po całych nocach nad kołyską i... ale, ja znów mówię o sobie. Ah, przepraszam pana, przepraszam, już nie będę więcej.

DANIEL.

O, pani!...

LAURA.

Ludek zburzałby mnie za to, gdyby słyszał naszą rozmowę; ale, co to, się znaczy, że go jeszcze niema do tej pory? Ściemniło się zupełnie, czas podać do herbaty... wybaczy pan, że go zostawię samego na chwilę. Ot, przejrzyj pan ostatnie pisma ilustrowane i książki, które mi przysłano z Warszawy. Może się z niemi lepiej

zabawisz, niż ze zdziczałą, wiejską gospochar... do widzenia za chwilę!

DANIEL (*klania się odchodzącej Laurze, potem idzie ku otwartemu oknu i oddycha głęboko*).

Mój Boże... i ja mogłem być szczęśliwym!...

SCENA DRUGA.

DANIEL (*sam*).

Trzy lata przygłuszyły w sercu chorem tą miłością. Nie chciałem ryzykować, nie chciałem uczynić jej nieszczęśliwą... Ha! może się i lepiej stało. Powiedział ktoś, że z zabitej miłości rodzi się inne jakieś, szlachetniejsze uczucie. Musi to być prawdą... doświadczam tego sam na sobie. Zdaje mi się, że kocham ją jeszcze, ale już nie tą miłością gorącą, pełną żądz i pragnień, tylko jakąś cichą, spokojną, miłością brata... Szczęście jej sprawia mi dziwną radość... Przed trzema laty musiałem uciec stąd, aby nie ranić serca jej widokiem; dzisiaj z uśmiechem pogody słucham jej spowiedzi, jej zwierzeń serdecznych z pożycia małżeńskiego; i dałbym nawet resztkę tego życia, aby jej kilka jaśniejszych promieni dorzucić, jeśli by ich potrzebowała (*po chwili*). Ale czy potrzebowałyby kiedy?... Tak tu ciepło, lubo, swojsko, w tej atmosferze domowego szczęścia... Kocha Ludwika i jest kochaną... jest?... chyba inaczej być nie może. A jednak Ludwik wydaje mi się trochę zmienionym; to zachowanie się względem owej pani Ewy, te wycieczki samnasam, ta poufałość jej

dla niego... Może się mylę... powinienem się mylić koniecznie... zobaczymy zresztą... No, sza, serce!... umiałoś dochować tajemnicy dotąd, nie kuś się teraz, gdy już na wszystko zapóźno! (*po chwili*) Śliczną noc będziemy mieli, — co za rozkoszny zapach sianożęci płynie od łąk! (*opiera głowę o okno*). Dobrze mi tu!... Co to? (*wychyla się przez okno, spojrzawszy, cofa się do salonu i zpoza firanki wygląda przez chwilę, potem odchodzi ku stolikowi śpiesznie*). Więc nie omyliłem się?!

SCENA TRZECIA.

DANIEL, EWA (*wsparta na ramieniu Ludwika, wchodzi, śmiejąc się wesoło*).

EWA.

Zawsze ten sam bałamut z pana, zawsze idący przebojem...

LUDWIK (*spostrzegając Daniela, kładzie palec na usta i daje jej znak milczenia*).

Ale przyznaj pani, że cicerone ze mnie wyborny. Jak się masz, Danielu?

DANIEL (*klaniając się Ewie*).

Witamy!

EWA.

Ah, pan tu?

LUDWIK.

Cóż, mój filozofie? — masz jakąś minę chmurnego Jowisza; wyglądasz po dwóch dniach pobytu z nami na wsi, jak istny *Jupiter pluvius*.

DANIEL.

Nie zważaj na to. I słońce traci blask swój,
gdy je chmura zasłoni.

LUDWIK.

Więc odgadłem rzeczywiście, żeś zachmu-
rzony?

DANIEL

Może.

LUDWIK.

Czy wolno spytać: dlaczego?

DANIEL.

Pytać wolno, ale wymagać odpowiedzi —
jeszcze nie.

LUDWIK.

Ah, zaczynasz mnie rozciekawiać...

DANIEL.

Czy być może?... sądziłem, że mi się to tylko
u kobiet dotychczas udawało, ale u mężczyzn...

EWA (*z uśmiechem*).

Nie wielkiej pan sztuki dokazałeś; my ko-
biety jesteśmy uosobioną ciekawością z natury.
Ja np., przyznaję się otwarcie, jestem tak cie-
kawą, że byłabym gotową...

DANIEL.

Wyjąć żywe serce, aby się przekonać, co
zawiera.

EWA.

O, tak okrutną nie jestem, bałabym się...
powalać sobie palce krwią.

DANIEL.

To też panie — mówię wogóle — zabijacie
serca, jak się gołębie zabija: dusicie je...

EWA (*śmiejąc się*).

Oryginalne spostrzeżenie pan zrobileś; czy
to na sobie?

DANIEL.

Nie, na drugich. Moje serce było dotąd przed-
miotem studyów... dla lekarzy jedynie.

EWA.

Ah, prawda! — opowiadał mi właśnie dzisiaj
coś o tem pański przyjaciel, p. Ludwik, gdyśmy
zwiedzali ruiny starego zamku.

DANIEL.

Tak?... byliście państwo w ruinach?

LUDWIK.

Pani Ewa chciała poznać trochę osobliwości
naszej okolicy, więc zaczęliśmy od ruin.

DANIEL.

Lepiej od nich zaczynać, niż na nich koń-
czyć...

LUDWIK.

Dziwnie sentencyonalny jesteś dzisiejszego
wieczoru.

EWA.

Czy to środek większego rozciekawienia?

DANIEL.

Może... *(do Ludwika)* Czy posłaniec z poczty powrócił?

LUDWIK.

Powinien był powrócić.

DANIEL.

Pójdę zobaczyć... *(kłaniając się Ewie)*. Pani...

EWA.

Panie...

DANIEL.

Będę w twoim pokoju, Ludwiku; gdybyś mnie potrzebował...

LUDWIK.

Zobaczymy się przecież przy herbacie?...
(Daniel odchodzi).

SCENA CZWARTA.

EWA, LUDWIK.

EWA.

Ten pański przyjaciel zdaje się mieć luk w ustach, a zamiast języka kołczan ze strzałami.

LUDWIK.

Broń Boże, dzisiaj tylko coś mu tak wyjątkowo humor zepsuło. W gruncie jest to naj-

zacniejsza natura i najszlachetniejszy charakter, jaki mi się spotkać zdarzyło. To materyał na bohatera romansu.

EWA.

Pan-bo jesteś optymistą wogóle. *(Siada).*

LUDWIK.

Nie — tylko co do kobiet; ale pani podkupujesz mój optymizm.

EWA.

Czy dlatego, że bronię się wszelkimi siłami, aby nie okazać się... słabą, jak inne?

LUDWIK.

Przypuścemy, że i dlatego.

EWA.

Myślałam, że pan, człowiek wyższy, poczytasz mi to za zasługę. Wyrzucacie nam na każdym kroku naszą słabość, a gdy która chce być silniejszą, bierzecie nam to za złe. *(Podając mu rękę)*. Rozepnij mi pan rękawiczkę!... Jestem tak znużona, oszłamiona tą dzisiejszą przechadzką, wrażeniami, rozmową...

LUDWIK *(rozpinając rękawiczkę powoli)*.

I rozmową?

EWA.

Ach, nią najbardziej!... Co też mi pan naga-
dałeś w ruinach! jeśli tam są jakie duchy, co mają przynajmniej uszy, to ze zgorzenia wyniosą się ze starych murów raz na zawsze. Gdyby tam nie było Lola z nami...

LUDWIK (*całuje ją w dłoń*).

EWA.

Znowu?...

LUDWIK.

Dziękuję za robotę...

EWA (*podając mu drugą rękę*).
I prosisz o drugą?...

LUDWIK.

Żalując w tej chwili, że nie jesteś pani, jak bóstwo indyjskie, o kilku parach rąk, które mógłbym z tych więzów uwalniać.

EWA.

I całować?...

LUDWIK.

Czy w tem co dziwnego?... Ręka pani jest arcydziełem natury.

EWA (*wyrywając rękę*).

Stare bajki! mój panie. Chyba pan nie wiesz, że pewien rzeźbiarz we Włoszech odlewał moje ręce w gipsie?... był to hold oddany im przez fanatyka-artystę. Po tem uwiecznieniu nie mówi się już więcej o moich rękach.

LUDWIK.

Więc o czem jeszcze wolno mówić przy pani? O sercu swoim zabroniłaś mi już wspominać.

EWA (*z westchnieniem*).

O mojem sercu? albo ja mam jeszcze serce? Było tam coś kiedyś, kolatało się, rwało i... zaniemialo. Eh, nie mówmy o tem.

LUDWIK.

Dlaczego?

EWA.

Dlatego, że umarłych się nie budzi...

LUDWIK.

Widocznie wyznajesz pani zasadę poety: «Gdy na dziewczynę zawołają: «Żono», już ją żywcem pogrzebiono».

EWA.

Nie, bo wiem, że są nieboszczki, co z takich grobów zmartwychwstają; ale to już mary tylko, którym nie wolno w jasny dzień pokazywać się przed ludźmi. Lepiej leżeć spokojnie i udawać letarg, jeżeli się naprawdę nie umarło.

LUDWIK.

Ale jeśli się ma prawa do życia, jeśli się czuje do niego pragnienie, jeśli się ma więcej, niż prawa, bo przywileje do szczęścia, tak, jak pani?

EWA (*powstając*).

Panie Ludwiku, nie mówmy więcej o tem (*przechadza się wzburzona!*). Zapisanem było widocznie w wyrokach mego losu, abym została żywcem zagrzebaną, wydziedziczoną ze wszystkiego, nawet z kilku chwil rozkosznego marzenia, nawet z przyjacielskiego uścisku ręki i słowa współczucia. Nie — nie mówmy o tem... (*po cichu*). Wyznałam panu tajemnicę mego życia, panu jednemu odkryłam tę okropną, cmentarną pustkę w mem sercu, które od najpierwszych lat prze-

zenia domagało się miłości prawdziwej, głębokiej, bezinteresownej. A tymczasem świat dał mi... *(z gorzkim uśmiechem)* trochę kłamanych afektów, dużo hołdów, kadzidła, dymu, kłamstwa i fałszu. Los rzucił mi pod nogi puste głowy słoneczników salonowych, którzy się za mną, jak za słońcem, zwracali, — za słońcem, co ich zapalało i oślepiało swym blaskiem. Ale mnie nie tego trzeba było.

LUDWIK.

A mąż?

EWA.

Mój mąż?... znał moją hypotekę lepiej od mego serca, w które nawet zajrzeć nie raczył, ani przed ślubem, ani po ślubie. Kazali mi wybierać: więc wybrałam jego, bo lepszych nie miał rywali.

LUDWIK.

A dziecko?

EWA.

Dziecko?... no, tak! ale dziecko kocha się miłością, którą musi podniecić miłość dla ojca jego, a jeżeli... ale poco ta rozmowa? Zostaw mnie pan taką, jaką jestem. Jaką mnie świat chciał mieć, taką mnie ma... *(Przechadza się wzburzona, nucąc, po salonie)*.

LUDWIK *(siadł w fotelu i zamyślił się. — Chwila milczenia)*.

EWA *(zbliżyła się i listkami róży, którą miała u gorsu, obrzuca go)*.

O czym-że tak?

LUDWIK *(przebudzony z zamyślenia)*.

O pani *(ujmuje jej rękę i do ust przyciska)*. Szukałem wyrazu, któryby był samą prawdą i zaklęciem dla pani... serca w letargu.

EWA.

I miałbyś pan odwagę wypowiedzieć go?

LUDWIK.

Miałbym.

EWA.

Szalony!

LUDWIK.

Zapewne, ale ten szal pani zaszczepiłaś w moje zmysły. O powiedz, powiedz: za takie słowo, któreby duszę twoją zbudziło do nowego życia, cobyś oddała?... powiedz!

EWA *(wpatruje się mu w oczy przez chwilę, potem półgłosem mówi)*:

Wszystko! *(odchodzi spieszenie w głąb)*.

LUDWIK.

Ha!.. Mamże wierzyć?

EWA.

Do woli... *(idzie do fortepianu, siada zmęczona, przerzucając w roztargnieniu nuty, leżące na pulpicie)*.

LUDWIK *(podąża za nią, staje obok, z uczuciem głębokim)*.

Pani Ewo!.. Ta chwila jest przelomem w moim życiu; czuję, że się coś straszego we mnie

dzieje, jakiś chaos budzi się w mej przepelnionej piersi. Pod wpływem tego czaru, który mną opowiadał, odkąd odezwałeś się do mnie swą skargą, jak echem z poza grobu, ja... ja przestaję panować nad sobą i drżący, jak dziecko staję, aby ci powiedzieć, że cię...

EWA.

Panie Ludwiku! zaklinam pana... *(uderza w klawisze i zaczyna grać początek Preludjum A-dur)*.
Ja nie chcę słuchać cię więcej!

LUDWIK *(zatrzymuje się, nasłuchując, potem z jękiem zasłania sobie oczy i odwraca się od Ewy)*.

Boże!... to Preludjum, teraz właśnie...

EWA *(sposzregłszy jego pomięszanie, nie przestając grać dalej)*.

Co to znaczy? co się panu stało?...

SCENA PIĄTA.

CIŻ I DANIEL *(który podczas ostatniej rozmowy stanął we drzwiach w głębi, podchodzi spokojnie bliżej i badawczo, przenikliwym spojrzeniem obrzuca Ewę i Ludwika)*.

DANIEL *(do Ewy)*.

Co mu się stało? Ja zgaduję, a jeśli pani pozwoli, wyręcę go w odpowiedzi.

EWA *(przerwywając grę)*.

Pan? *(wstaje)*.

DANIEL *(siląc się na spokój i obojętność)*.

O proszę, nie przerywaj pani sobie tej pięknej gry, tak w porę wybranej. Dla Ludwika to Preludjum ma urok nieprzeparty. Proszę, graj pani dalej. Mój przyjaciel jest fanatycznym wielbicielem Szopena, a z pod pani rąk, ta melodia właśnie tak przedziwnie zabrzmiała. Dziwny traf, nieprawdaż Ludwiku? Mój Boże! jak widzę, bardzo niewłaściwie przerwałem ten koncert mojem zjawieniem się, i zepsułem wrażenie tak mile i podniosłe. *(do Ewy)* Czy uwierzy pani, że to Preludjum odgrywa bardzo ważną rolę w życiu mego przyjaciela, że jest niejako zaklęciem, które budzi w jego sercu wspomnienia najpiękniejsze w życiu *(z naciskiem)* szlachetnego mężczyzny.

EWA.

Jakież to?

DANIEL.

Wspomnienia miłości.

LUDWIK.

Danielu!

DANIEL.

O pozwól, będę szczerym, to takie piękne i poetyczne, że ci tylko zaszczyt przynosi, a pani Ewie należy się przecie wytłumaczenie *(do Ewy)*. Ludwik był zawsze trochę entuzyastą i szukał niezwykłych wrażeń w życiu, ale z tą miarą ludzi uczciwych, którzy kochają, co piękne i co... dobre zarazem; a dla takich ludzi nawet piękne wrażenia mają coś świętego, coś — co w ich duszy zostawia niezatarte ślady, jak dluto mistrza

na alabastrze. Nie zdziwi to pani teraz, że dotknąwszy palcami klawiszów, zagrałaś jednocześnie na duszy Ludwika, i w tem cudownem Preludyum Szopena przypomniałaś mu cichy szept pierwszego wyznania miłości, rozkoszne chwile marzeń przy boku kobiety, która mu oddała wszystko, co dać może młodość i świeżość wdzięków i uczucia; długie zimowe wieczory samnasam z ukochaną; te pierwsze drgnienia serca, które upojone miłością, marzyło o rajy na ziemi i myślało, że żadnych pragnień więcej mieć nie będzie; przypomniałaś kochankowi miłosne gruchania, mężowi pogodne miesiące miodowe, ojcu kolysankę pierwszego dziecka... Czyż może teraz panią dziwić wzruszenie Ludwika, gdy posłyszał tą samą Szopenowską pieśń, którą mu tak często grywała — jego żona przed ślubem i po ślubie?

EWA.

Pani Laura? ah!... (*hamując się*). Więc nie chcący natrafiłam na prawdziwy, serdeczny ton pańskiego przyjaciela (*na stronie*). A, to niezręczność!

DANIEL.

Czy chcący, czy nie chcący, w każdym razie bardzo szczęśliwie.

EWA (*złościwie*).

Jeżeli się nie mylę, Ujejski to Preludyum nazwał «Wniebowzięciem»; pan Ludwik, gdyby był sam kompozytorem, mógłby mu dać właściwszy tytuł: *Souvenir de la lune de miel*, albo coś w tym rodzaju.

DANIEL.

Z koniecznym wszakże dodatkiem: *Touts les droits réservés.*

EWA (*z przekąsem*).

A pan podjąłbyś się zapewne roli... stróża tych praw zastrzeżonych?

DANIEL.

Czyżbyś pani nie była zwolenniczką — przywilejów?

EWA.

I owszem — własnych!

SCENA SZOSTA.

CIŻ I LAURA (*wchodzi spiesznie głębia, niosąc Lola na rękach*).

LAURA.

Ach, jesteście państwo razem? Proszę spojrzeć tylko, co to znalazłam na tarasie! (*do Ewy*) Biedaczek pani usnął ze znużenia po spacerze. A jak też twardo śpi! Zabrałam go sama na ręce. Cicho, cicho! nie budzić go! Żebyście byli widzieli, co to za śliczny obrazek można było zrobić z Lola w tej pozie, w jakiej go zastałam! Wiesz, Ludku, gdzie się ułożył? przy naszym kamiennym sfinksie na tarasie. Biedaczek mój! (*całuje go zlekka w głowę*). Zazdroszczę pani takiej pociechy. Ale trzeba go odnieść do dziecinnego pokoju, niech się prześpi przed odjazdem.

DANIEL (*podchodzi, chcąc zabrać Lola*).
Pozwoli pani.

LAURA.

O nie, nie — ja to sama zrobię; moje ręce przyzwyczajone do takiego ciężaru (*przechodząc obok Ludwika, patrzy mu czule w oczy*). Cóż to? mój pan ma takiego marsa na twarzy? czy nie kontent z czego? Proszę się ze mną przywitać i przyprowadzić zaraz naszych gości na herbatę. Musicie być głodni! (*Ludwik całuje ją zlekka w czoło*). Czekam (*wychodzi na lewo*).

DANIEL (*do Ewy*).

Co to za rozkosz być... dobrą matką.

EWA.

Zapewne! (*zaciśnięwszy usta, chwilę waha się, potem zmierza ku drzwiom na lewo, zatrzymuje się i bardzo chłodno mówi do Ludwika*). Nie chcę państwu robić ambarasu; czas nam z Lolem do domu, każ pan z łaski swojej zajechać naszemu stangretowi (*ciszey*). Będę teraz częściej grywała Szopena na pańską pamiętkę (*wychodzi, tłumiąc nerwowo śmiech — na lewo*).

SCENA SIODMA.

LUDWIK I DANIEL.

DANIEL (*przez chwilę patrzy na Ludwika, który ze zwieszoną głową oparł się, zamysłony, o stół; potem odzywa się niższym głosem*).

Ludwiku — domyśliłem się wszystkiego. Ta kobieta była twą Ewą, twem pokuszeniem w raj

małżeńskiego pożycia. Los sam powstrzymał cię nad przepaścią, ale strzeż się! Dzisiaj kilka taktów uświęconej wspomnieniem pieśni wyrwało cię z szalu. Oh, nie zapieraj się! słyszałem coś do niej mówił; zresztą widziałem z tego okna, jak ją niebacznie chciałeś w skroń pocałować, gdyście wstępowali na wschody tarasu. Wiesz, że mam za bystre oko, i za wiele doświadczenia w życiu, abym się po takich pozorach mógł jeszcze pomylić. Pani Ewa jest kobietą niebezpieczną, nawet dla takich, jak ty — ludzi; ale powiedz, czy warto poświęcać dla niej uczciwość męża, zaprzeć się głosu własnego sumienia, przysiąc czystego serca i za co? — za kilka chwil upojenia, szalu, zmysłowej uciechy... To szczęście kradzione, jak owoc Martwego Morza, ma tylko pozór ludzący, ale wewnątrz... popiół sam. Takie kobiety nikomu, ani sobie — szczęścia i pokoju dać nie potrafią. To piękne ómy o świetnych barwach; krążą wiecznie około płomienia i giną w płomieniu, pociągając nas za sobą. Nie tobie unosić się nad niemi litością i ratować je przed przeznaczeniem takim!... Ty inne masz obowiązki. Wybacz, że mówię do ciebie głosem sędziego w tej chwili, ale mam potemu trochę prawa. Wiesz, że kiedyś... kochałem i wyrzekłem się dla ciebie mej miłości, pod warunkiem, iż uczynisz Laurę szczęśliwą. Wierzyłem ci i ufałem, boś na to zasłużył — zresztą los sam sprzyjał więcej tobie, niż mnie, dając ci wzajemność. Pomyśl: czy dla takiej żony, jak ona, ty — człowiek szlachetny, człowiek honoru, możesz być mężem wiarołomnym? Ludwiku! takiej krzywdy nie śmiałybyś jej i swemu dziecku

wyrządzić. Trzeba mieć siłę odparcia pokus, choćby w najszlachetniejszych obsłonach, — jeśli się nie chce zostać nieszczęśliwym na całe życie, lub — zbrodniarzem! Czy wiesz, że twoją żonę zabiłoby samo podejrzenie, iż ją kochać przestajesz? ona nawet przypuścić nie śmie, iż jej wybrany, jej mąż, mógłby zdradzić jej miłość. Mówię ci to, jako ostatnią przestrożę, Ludwiku. Jutro pożegnam was, może na zawsze... ale zaklinam cię, nie narażaj, nie marnuj lekkomyślnie jej i swojego szczęścia, bo ono, jak kwiat wiosenny, raz żądłem owadu ukłuty, zwiędnąć - by już musiało na wieki!...

LUDWIK (*po walce wewnętrznej z sobą, z przymusem i wyrazem niechęci*).

Rozumujesz, jak ideolog, moralista, który tylko teorię życia zna dokładnie... Nie znasz zresztą pani Ewy!... to kobieta niepospolita, czarująca, wyjątkowa. Od niej zawraca się w głowie, jak od haszyszu.

DANIEL (*który go obserwował, ze smutnym uśmiechem*).

Powiedz raczej, jak od ponczu. Haszysz usypia i daje marzenia, poncz tylko upaja i rozpala; uderza do głowy, nie tykając serca.

LUDWIK.

Dlaczegoż przypuszczasz, że u mnie jedynie głowa zajęta?

DANIEL (*spokojnie, ale z naciskiem*).

Głowa i... zmysły; przecież jej nie kochasz?

LUDWIK (*po chwili wahania*).

Kto wie!...

DANIEL.

Co?... (*miarkując się*) A zatem jest gorzej, niżeli przypuszczałem. Kochasz ją?... To niepodobna... zdaje ci się tylko, nic więcej.

LUDWIK.

A gdyby w istocie tak było... znajdź drogę wyjścia z takiej kolizyi. Radź!... jesteś samą rozważą i rozumem! Cóż na to powie twoja teorya życia?... Słucham.

DANIEL (*spoglądając mu bystro w oczy*).

Uczciwemu mężczyźnie odpowie — honor i sumienie!...

LUDWIK (*spuszcza oczy, nie mogąc znieść jego wzroku*).

DANIEL (*po chwili*).

Miałeś odwagę zapomnieć o swoich obowiązkach, o uczciwości, o przysiędze u ołtarza, o prawach kobiety, która ci całą duszę swą oddała, miejże odwagę teraz wyrwać ją z tych złudzeń i skoro sądzisz, że kochasz tamtą, a tę kochać przestałeś (*zatrzymuje się i niemal rozkazująco mówi z siłą*) nie zwódź dłużej nikczemnie i małodusznie żony, wyznaj jej prawdę!... powiedz w oczy, że kochasz inną!...

LUDWIK.

Mam jej to wyznać?... dlaczego?...

DANIEL.

Abyś był w zgodzie z samym sobą, z Bogiem i prawdą!...

LUDWIK (*zmieszany coraz bardziej*).

Ależ to niepodobna!... to niemożliwe.

DANIEL.

A zwodzić ją i zdradzać to możliwe?... to godne honoru i uczciwości mężczyzny?... (*spstrzegłszy za drzwiami zbliżającą się Laurę*) Patrz!... otóż ona!... mów!... Nie wahaj się, jeżeli kochasz tamtą!

LUDWIK (*stoi przygnębiony i niezaradny*).

SCENA OSMA.

CIŻ I LAURA (*wchodzi*).

LAURA (*swobodnie*).

A bardzo ładnie!... pozwoliłeś odjechać pani Ewie, nie wsadziwszy jej nawet do powozu. Grzeczny gospodarz z ciebie!... Zagadaliście się tu panowie we dwójkę, zapomniawszy zupełnie o obowiązkach względem dam. Pani Ewa musiała się czuć tem nawet dotkniętą, bo miała jakąś dziwnie skwaszoną minkę. (*Przechodzi do fortepianu, by uporządkować nuty i zamknąć klawiaturę*) Mnie się zdaje, że jej to słomiane wdowienie ciężyc trochę zaczyna!... Wiesz, co mi powiedziała na wyjezdne?... przyznała mi się, że ją nasze szczęście małżeńskie... Ale co tobie

się stało?... jesteś jakiś zmieniony. Czyś ty się nie przeziębził, Ludku?... Wieczór dziś chłodny... Ludeczku, co tobie?... (*zbliżyła się do niego zaniepokojona z wyrazem czułości*). Czemu tak milczysz?...

DANIEL (*który nie spuszczał oka z niego*).

Milczy, bo ma na ustach słowa, których mu przy mnie trudno wymówić. (*Z naciskiem do Ludwika*) No, dalej!... nie ociągaj się dłużej. Wszak miałeś pani coś do powiedzenia!... Jeśli przeskadzam... (*chce odejść*) odejdę.

LUDWIK (*do Daniela półgłosem*).

Zostań!

LAURA.

O, my przed panem nie mamy żadnych tajemnic!... wszakże pan pierwszy znałeś naszą najpierwszą tajemnicę, gdyśmy sobie miłość wyznali wzajemnie i pamięta pan, kiedy to mi Ludwik powiedział po raz pierwszy: «kocham panią» ja jeszcze z oczyma od płaczu czerwonymi, przybiegłam się panu zaraz zwierzyć z tego. Ale ja wtedy płakałam z radości i zbytku szczęścia, a pan miał także łzy w oczach. O, nie zapieraj się pan, widziałam!...

DANIEL (*półgłosem do Ludwika*).

Wyznajże jej teraz, żeś ją kochać przestał!...

LAURA.

Co mu pan tam złośliwego o mnie szepczesz do ucha?... Bardzo proszę mi męża nie buntować.

DANIEL.

O, ja go namawiam jedynie do dobrego!... powiedz Ludwiku!

LAURA.

Alboż on do złego jest zdolny?... prawda Ludku, że tybyś mi nic złego nigdy nie mógł uczynić?... *(przytula się do jego piersi)* Tu mi najlepiej i najbezpieczniej na całym świecie! przy twoim boku!... Czy ty będziesz ciągle tak milczał?... Wszak miałeś mi coś powiedzieć?...

LUDWIK *(jakgdyby się ocknął z przykrego snu)*.

O nie, nie!... to już przeszło!...

LAURA *(pieszczotliwie, ale z prostotą)*.

Mój pan jest jakiś rozkapryszony dzisiaj, jak drugi Lolo!...

LUDWIK.

Chciałbym cię tylko prosić...

LAURA.

O co?... mów! mów!... natychmiast spełnię, choćby to było coś najtrudniejszego.

LUDWIK *(ciepło, choć nieśmiało)*.

Chciałem cię prosić, abyś mi zagrała — nasze «Preludium».

LAURA.

Tyle tylko?... Ależ to taka drobnostka!... Możeby jednak po herbacie dopiero... Samowar już na stole...

LUDWIK.

Nie... teraz, zaraz... chcę je usłyszeć!... to mnie do reszty uspokoi.

LAURA *(patrzy na niego przez chwilę, jakby go chciała wyrozumieć)*.

Do reszty uspokoi?... toś ty był niespokojny?... A ja tego nie spostrzegłam, nie przeczułam?... Co ci było Ludku?... przyznaj mi się!

LUDWIK.

Nie, nie... nie teraz! *(prowadzi ją do fortepianu)*. Zagraj wpierrw to zaklęcie naszej miłości i naszego szczęścia!...

LAURA *(siadając do fortepianu)*.

No, no!... jest mi jakoś tak, jakby burza przeciągnęła nad moją głowę. *(Zaczyna grać to samo Preludium, co na początku sztuki)*.

LUDWIK *(z wyrazem głębokiego wzruszenia zwraca się ku Danielowi, podając mu obie ręce i poza plecami Laury niespostrzeżenie ściska go gorąco, z wdzięcznością, pokonany. Niema gra pomiędzy nim a Danielem. Daniel go uspokaja i daje znaki milczenia, wskazując głową na grającą Laurę, jakgdyby mówił: «Ostrożnie!... żeby się nie domyśliła!» Muzyka trwa dalej...)*

KURTYNA POWOLI SPADA.